

WIDOWIE
WZGÓRZE

KATARZYNA
RYRYCH

WIDOWIE
WZGÓRZE

MYSZ ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

Katarzyna Ryrych
Wdowie Wzgórze

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Elżbieta Chojna

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-595-6

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

Ogród był pusty i przygnębiająco szary. Lepka mgła snuła się pomiędzy pniami drzew, a mokre kretówki na trawniku wyglądały jeszcze bardziej nieporządnie niż zwykle.

Róże, których kolce wiosną przypominały rozkoszne pazurki małych kociąt, sterczały sztywne i odpychające, wilgoć zdawała się skapywać z każdej gałązki i chociaż wcale nie było zimno, przez zgarbione plecy Franciszki przebiegł dreszcz.

Kolejna bezsenna noc nie poprawiała jej nastroju. To był po prostu następny dzień niezimowej zimy, zimy bez śniegu, kiedy kolorowe światełka na choince wydają się czymś nie na miejscu.

Franciszka pościeliła łóżko i poczłapała do pieca. Tliła się tam jeszcze od wieczora mała kupka żaru, od której szybko zajęła się garstka drzazg.

Franciszka poczekała chwilę i dołożyła bryłkę węgla, ostrożnie, by nie spłoszyć ognia. Kiedy czerwone języki rażno obliżywały pierwszą bryłkę, dołożyła następne i ustawiła na blasze stary, emaliowany czajnik.

Z pojemnika na chleb wyjęła foliówkę, w której było jeszcze kilka kromek. Przez sporej wielkości dziurę w folii wysypały się okruszki.

Trzymając woreczek w dłoniach, Franciszka poprawiła okulary i prawie w całości wsunęła głowę do pojemnika. W środku

dojrzała jeszcze trochę okruszków i małe, przypominające kminek, czarne bobki. Zgarnęła je i wsypała do doniczki z passiflorą. Potem starannie spłukała ręce i wytarła o flanelową szmatkę.

Śniadanie składało się z tego, co zwykle – herbata, płatki kukurydziane z mlekiem i kromka chleba z miodem, uprzednio posmarowana margaryną.

Na blasze cieniutko podśpiewywał czajnik, miarowo tykał zegar, a radio grało jakąś melodyjkę. Dochodziła ósma.

Po śniadaniu Franciszka wypłukała szklankę, talerzyk i łyżeczkę, rzuciła okiem na kalendarz i znowu spojrzała za okno. Pomyślała sobie, że tak naprawdę to kalendarz nie jest jej potrzebny, przynajmniej do czasu, kiedy nie zacznie wszystkiego zapominać. Jeszcze raz odwróciła się w stronę kalendarza i zauważyła, że jeden jego brzeg jest wystrzępiony.

Przed oczyma stanęły jej czarne bobki i nagle wszystko stało się jasne.

Przedpołudnie minęło tak szybko, że prawie przegapiła porę obiadu. Przełknąwszy w pośpiechu parę łyżek zupy na topionym serku, wróciła do pracy.

Kłęcząc na podłodze, wyjmowała z szafki przy zlewozmywaku kolejne papierowe torebki. W tej pozycji wyglądała jak wzgórek na szarej równinie kafelków, zaś wydeptane podeszwy kapci sterczały na kształt wrót do środka wzgórza.

Czuła w sobie coś w rodzaju gorączki przedświątecznej, gdy tak przesypywała zawartość torebek – a każda była nadgryziona – do weków.

Gorączka zelzała nieco, gdy usiadłszy przy stole nad stosem nierówno przyciętych karteczek z brulionu w grubą linię, zaczęła pisać koślawym, chwiejnym pismem: „MĄKA, KASZA, JAGŁY, CUKIER, PŁATKI, BUŁKA TARTA”.

Na koniec, rozrobiwszy trochę mąki z wodą na domowy klej, oznaczyła kolejne słoiki i powróciła do pracy.

Mąka, kasza i jagły stanęły rzędem równo jak żołnierze i nawet się nie zorientowała, że przegapiła ulubiony teleturniej i że za oknem zrobiło się ciemno.

Nocą w ogrodzie widać było tylko czarne sylwetki drzew i światła innych domów, tych, których nie było widać za dnia.

Światła były dalekie i ciepłe, przypominały, że gdzieś tam są inne kuchnie i inni ludzie. Jedno z okien było niebieskie – pomyślała o telewizji, ale po całym pracowitym dniu była tak zmęczona, że tylko przebrała się w nocną koszulę, wyjęła sztuczne zęby i włożywszy je do szklanki z wodą, zaczęła ścielić łóżko.

Procedura była dość skomplikowana – wymagała przesunięcia dwu stołków aż pod zlew, rozłożenia wersalki i przyniesienia pościeli z przeraźliwie chłodnego pokoju. Aby trochę rozgrzać kołdrę, wsunęła pod nią butelkę z gorącą wodą.

Dokręciła kran, sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, ostatni raz dorzuciła do pieca i położyła się z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Niestety, nastąpiło to, co zwykle. Senność ustąpiła miejsca irytacji i co rusz zaczął pojawiać się jakiś dyskomfort. Kołdra zsuwała się z nóg, poduszka nagle zamieniła się w kamień, a pies sąsiadów zawzięcie się rozszczękał.

Włączyła radio, ale akurat natrafiła na policyjny raport dotyczący napaści na starych ludzi, więc szybko je wyłączyła.

Ale ziarno zostało już zasiane... W ciszy, która nagle stała się nie do zniesienia, każde kolejne szczeknięcie psa brzmiało jak wystrzał.

Franciszka wstała z łóżka i udała się do pokoju, skąd widać było sąsiedni dom.

Nieduży kundel na krótkich łapach stał tuż pod lampą na schodach i czekał w ciemność. Za każdym razem śmiesznie wysuwał pysk do przodu, co nadawało mu wygląd mechanicznej zabawki.

Pomyślała o małych włamywaczach czyhających w krzakach porzeczek, maniakach gier komputerowych gotowych na wszystko, byleby tylko zdobyć kolejną płytkę, o foliowych workach i kijach baseballowych i szybko wróciła do kuchni.

Naciągnęła kołdrę aż po szyję i przez chwilę grzała stopy o butelkę.

Pies dalej urągał niewidzialnemu zwyrodnialcowi.

W końcu wstała po raz drugi, połknęła przygotowaną tabletkę nasenną i ułożyła się na boku, z kolanami pod brodą.

O świcie, kiedy przez firankę zaczęło sączyć się blade światło dnia, obudziło ją ciche, lecz uporczywe chrobotanie. Niechętnie otworzyła oczy i rozejrzała się po kuchni. Dźwięk dochodził jakby z góry, ale nie zauważyła niczego.

Za to ogród zupełnie zniknął. Mgła, wczoraj tylko lekka, dziś była gęsta i zawieszona i opierała się o szybę wilgotną ścianą.

Było znacznie chłodniej. Rozpaliła w piecu i jeszcze na chwilę wróciła pod kołdrę. Teraz naprawdę chciało jej się spać.

Gdy obudziła się na dobre, zegar wskazywał dziesiątą.

Na szczęście szybko uporała się z myciem i śniadaniem, bo na chwilę zajrzała Henryka.

Choć Franciszka bardzo ją lubiła, to jednak jedzenie wydawało się jej czymś intymnym i wolała robić to w samotności.

Stawiała właśnie szklankę na osączarce, gdy Henryka zadzwoniła do drzwi. Zaprosiła ją do kuchni i od razu podzieliła się swoim odkryciem.

– Wiesz, Heniu – zagadnęła na tyle głośno, aby przyjaciółka usłyszała – mam w domu mysz.

– Tak, śpisz sobie, śpisz! – huknęła Henryka, a Franciszka tylko machnęła ręką.

Chwilę siedziały w milczeniu, a czajnik podśpiewywał na piecu.

– Śpisz sobie – powtórzyła Henryka – a ja to ostatnio w ogóle nie mogę spać.

Za to ja mogę – pomyślała z irytacją Franciszka – i codziennie tak sypiam do dziesiątej...

– ...Ten pies szczeka jak najęty, nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie, ty przecież śpisz, zawsze zaczyna koło dziesiątej i nie ma na niego siły... Władek kiedyś rzucił w niego kapciem i wiesz, ten stwor wcale nie przestał szczekać, tylko... pogryzł kapeć. Nowiutki, z Zakopanego. A Michalakowa nie zwróciła pieniędzy, tylko powiedziała, że nie trzeba było rzucać...

Ostatnie słowa wypowiedziała tak, że nabrały jakiejś dziwnej ważności.

Henryka zamilkła, spojrzała na parapet, zauważyła tam coś, pośliniła palec i zebrała to coś z parapetu.

– Masz w domu mysz – stwierdza, podsuwając Franciszce pod nos czarny bobek przyklejony do opuszki palca.

– Więc nie możesz spać... – odparła przekornie Franciszka, lekceważąc podsunęty jej dowód rzeczowy.

Henryka z rozpędu została na obiedzie. Zwykle bardzo ciężko było jej pozbyć, ale tym razem przyniosła ze sobą w słoiku kotlety z soi, więc nie wypadało dawać jej do zrozumienia, że jest już pierwsza.

Zjadły wczorajszą zupę, kotlety i surówkę z kiszzonej kapusty. Kapustę Henryka ukisiła z kminkiem, co nasunęło Franciszce pewne mało apetyczne skojarzenia, ale dzielnie zjadła wszystko do końca. Gdy tylko pozmywały i drzwi zamknęły się za Henryką, Franciszka powróciła do swojej roboty.

Na dziś zaplanowała *blitzkrieg* w górnych szafkach – a czasu pozostało niewiele.

Uporała się z nową partią słoików z piwnicy – przy okazji dość boleśnie uderzając się w biodro. Co za idiota postawił tu skrzynkę na węgiel – pomyślała, ale po chwili dotarło do niej,

że był to jej własny pomysł. Otworzyła szafkę i zabrała się za dolną półkę.

Było tak, jak przypuszczała. Nadgryzione pudełko z herbatą i poszatkowana torebka kminku. Kminek z bólem serca wyrzuciła do pieca – nigdy nie odważyłaby się go użyć...

Sztywnik do śmietany też był napoczęty, a torebka wyraźnie wyjedzona do połowy. Franciszce przyszło do głowy, że ta mysz dobrze wie, co robi, ale zaraz poczuła nowy, ożywczy przypływ złości na widok zniszczonej paczuszki kawy zbożowej Turek.

Z niespotykaną u siebie pasją rozrywała torebki i zakręcała słoiki, a miotelka w jej guzowatych palcach przemieniła się w batutę dyrygenta.

Presto, lento, prestissimo – półka po półce, szufelka i piec.

Na górnej półce, pomiędzy wyrwanymi z gazet przepisami i poradami („Sposób babuni na plamy z pleśni”, „Co zrobić, aby pończochom nie leciały oczka”), znalazła bardzo stary brulion zapisany drobnym, wyblakłym pismem.

Zeszła ze stołka i usiadła przy stole pośród toreb, torebek, słoiczków i słoików.

Podsunęła sobie pod nos poźółkłe kartki, aby móc odszyfrować nagłą a niespodziewaną wiadomość z przeszłości, gdy pomiędzy kartek wypadło niewielkie zdjęcie i pofrunęło gdzieś pod stół... Z trudem schyliła się, gubiąc po drodze okulary.

Macając ręką na oślep, najpierw natrafiła na zdjęcie, potem na okulary – na szczęście nie stało się im nic złego. Krew nagle napłynęła jej do głowy, więc powoli wyprostowała się i usiadła na wersalce.

Spojrzała na zdjęcie. Jeszcze parę świetlistych gwiazdek migotało jej przed oczyma, ale rozpoznała twarz Gieni.

Prawdę powiedziawszy, nie było to takie trudne, bo choć zdjęcie pochodziło sprzed jakichś pięćdziesięciu lat, to Giena

należała do osób, których twarz z wiekiem się nie zmienia, tylko pokrywa coraz gęstszą siatką zmarszczek.

– Zaraz, zaraz – mruknęła Franciszka – jaki to mamy dzisiaj dzień?

Kalendarz pokazywał sobotę, 23 stycznia, był więc w jakiś sposób potrzebny.

Akurat następnego dnia Giena miała wpaść z wizytą. Patrząc na zdjęcie, Franciszka zamyśliła się. Z Gieną przyjaźniły się od szkoły podstawowej, ale jedyne, co pamiętała z tamtego okresu, to było to, że Giena zawsze miała niedomytą szyję i że potrafiły godzinami zaśmiewać się z byle czego, stojąc po lekcjach między domem jednej a drugiej.

Pomyślała sobie, że jutro da to zdjęcie Gienie, i odłożyła je na pierwszą uporządkowaną półkę.

Jako że zawrót głowy minął, nie trzeba było brać żadnej dodatkowej tabletki.

W trakcie rozmyślań o przeszłości, jej zapał i energia nieco ostygły i wojna przebiegała mniej gwałtownie niż przedtem.

Słoiki powoli ustawiały się na półkach, a mgła za oknem ustąpiła miejsca zmrokowi. Franciszka zrobiła sobie małą przerwę na herbatę, mogła sobie na to pozwolić, jako że najważniejsze produkty były już zabezpieczone.

Usiadła na swoim ulubionym miejscu, wsypała do szklanki płaską łyżeczkę cukru – uwaga, nadwaga! – i oparła głowę na dłoniach.

Niestety, nie było jej dane odpocząć... Najpierw zaszczeakał pies sąsiadów, a potem ktoś zadzwonił do jej drzwi. Franciszka drgnęła i spojrzała na zegar. Dochodziła siódma.

Rozejrzała się nerwowo po kuchni w poszukiwaniu czegoś, co ewentualnie mogłoby służyć samoobronie, ale jej wzrok natykał tylko nożyczki. Były niezrównane, jeśli chodziło o obcinanie paznokci u nóg, za to bardzo niepewne i w ogóle niesprawdzone jako broń defensywna.

Dzwonek zaterkotał jeszcze raz, więc schowała nożyczki do kieszeni fartucha, uzbroiła się jeszcze po drodze w pogrzebacz i poczłapała do przedpokoju.

Na ganku, wyposażeni w szopkę i gwiazdę, stali kolędnicy. Franciszka z ulgą odetchnęła i, możliwie jak najciszej, odstawiła pogrzebacz. Uchyliła drzwi i powitała chłopców nerwowym uśmiechem.

Zakołysała się gwiazda i cztery niezbyt zgrane głosy podjęły kolędę:

– *Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem...*

Wieczorny chłód przejął Franciszkę do szpiku kości. Tymczasem chłopcy zaczęli następną pieśń:

– *Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi...*

Wrażliwy nos Franciszki wyczuł zapach papierosów. Ciekawe, który to – pomyślała.

– *Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi...*

Zakończyli i zapadła pełna wyczekiwania cisza, w której Franciszka zrozumiała, że chodzi o drobne.

– Poczekajcie, chłopcy – wychrypiała – nie spodziewałam się kolędników.

Zamknęła drzwi i pospieszyła do kuchni. Z portmonetki schowanej w szufladzie kuchennego stołu wyjęła dwa złote i zawróciła do przedpokoju.

Chłopcy chichotali i poszturchiwali się, a jeden, w czapce baseballowej założonej daszkiem do tyłu, pstrykał zapalkami w głąb ogrodu.

Na widok starszej pani spoważnieli. Franciszka położyła monetę pod żłobkiem Dzieciątko i zapytała:

– Sami robiliście tę szopkę?

Cztery głowy zgodnie przytaknęły, a Baseballowa Czapka schował dwuzłotówkę do kieszeni.

– Co kupicie za te pieniążki? – spytała Franciszka, czując jednocześnie niestosowność pytania. Zapewne piwo albo pa-

pierosy – pomyślała, ale odpowiedź była zgoła inna, bardziej groźna.

– Komputer – rzekł Czapka-Daszkiem-Do-Tyłu. – Pani tu tak sama mieszka?

Franciszka zdrętwiała. Czyżby miało nadejść najgorsze?

– Może za parę złotych moglibyśmy w czymś pomóc?

– Węgla przynieść? – spytał najmniejszy (ten, od którego pachniało papierosami). – Albo posprzątać?

– On umie kosić – powiedział średni, wskazując na Baseballową Czapkę.

Wizja Baseballowej Czapki z kosą w jej własnym ogrodzie przepełniła czarę.

– Nie, dziękuję – fuknęła i możliwie jak najmniej nerwowo wycofała się do przedpokoju.

– Szkoda... – Baseballowa Czapka zgasił światełka w szopce. – Idziemy, chłopaki. Ale gdyby się pani namyśliła...

Nasmarował coś na kartce i wsunął ją w szparę w drzwiach.

Kartka upadła na podłogę, nastąpiła na nią, wracając do kuchni.

Chłopcy powoli opuszczali ogród, śpiewając przeróbkę kolędy.

– *Wśród nocnej ciszy, czy pani słyszy, jak po pokoju harcują myszy...*

Choć kolana jeszcze się pod nią trzęsły, uśmiechnęła się i przypomniała sobie o swojej dzisiejszej wojnie.

– *Niechże pani weźmie kija, wszystkie myszy pozabija...* – niosło się po ulicy i Franciszka mimo woli wzdrygnęła się.

Przed położeniem się spać, zastawiła kuchenne drzwi taboretami i dla pewności wsunęła pod łóżko pogrzebacz.

Dzień był męczący, więc od razu zapadła w płytki sen. Rzadko kiedy miewała sny, ale tym razem przyśnił się jej chłopak w czapce, który siedział na stopniach jej ganku i ostrzył kosę.

Miarowe chrobotanie trwało nadal, mimo że otworzyła oczy. Uniosła się na łokciu. Zza firanki sączyło się niebieskawe światło latarni. W smudze tego światła Franciszka zobaczyła malutki cień przypominający górkę.

Franciszka poruszyła się i górka także się poruszyła, błysnęły malutkie oczka i mysz znikła.

Franciszka położyła się z powrotem, ale nie mogła zasnąć. Mysz chrobotła to tu, to tam, co było ogromnie irytujące. Franciszka sięgnęła po tabletkę i kręcąc się z boku na bok, przemęczyła tę noc aż do rana.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła po przebudzeniu, była jej ulubiona gazeta z krzyżówkami pocięta na strzępki.

A więc wojna! Skoro tego chce... Najpierw kawa, a teraz gazeta... Dosyć!

Zjadła śniadanie i nie umywszy naczyń, ubrała się jak popadło. Opróżniła następną szafkę i poukładała na półkach gazety, bruliony i zapasową parę okularów. Zamknęła szczelnie drzwiczki, a pomiędzy ich gałkami przeciągnęła gumkę.

Pstryknęła w nią palcem, a gumka zaśpiewała zwycięsko.

Na obiad dojadła resztkę kotleta z soi i wypija szklankę herbaty. Potem położyła się na chwilkę, ale tak jak zwykle nie spała, tylko myślała. Trochę o Gienie, trochę o myszy, a potem już tylko o tym, że niedługo będzie wiosna i mnóstwo pracy w ogródku.

Przed oczyma widziała brązowy spłachetek ziemi, niecierpliwie czekający słońca. Wyobraziła sobie te wszystkie pędy, skurczone pod ziemią, gotowe do startu, ale na razie jeszcze nieprzyjemnie białe – jak robaki.

– Mam w domu mysz – powiedziała, witając Gienę.

Giena wypełniała sobą cały przedpokój. Zdjęła płaszcz i buty, poprawiła czarne, wełniane skarpetki i poszły do kuchni.

– Mówiłam ci na jesieni, żebyś sobie wzięła kota.

Franciszka nalała wody do czajnika. Podnosząc pokrywkę, zauważyła parę bobków na brzegu zlewozmywaka. Podsunęła jeden z nich pod nos Gienie.

– Mówiłam ci na jesieni, żebyś wzięła sobie kota – powtórzyła Giena.

– Nie chcę kota. – Franciszka zalała wrzątkiem łyżeczkę wiórków. – Koty paskudzą i w ogóle nie mam siły, żeby się uganiać za kotem.

Giena zamieszała cukier i postawiła na stole szarą, papierową torebkę.

– Przyniosłam ci jajka – rzekła krzepiąco.

Franciszka wsunęła torebkę do zabezpieczonej gumką szafki.

– Przesypałam wszystko do słoików – oznajmiła, a w jej głosie zabrzmiała nutka triumfu.

Kiedy się pożegnały, było już dość późno. Oczywiście jak zwykle, w trakcie rozmowy zdążyły się pokłócić, ponieważ Giena uważała, że wszystkim są winni Żydzi, i na poparcie swojej tezy odczytała Franciszce kilka wycinków z gazet, ale rozstały się w zgodzie.

Do następnej niedzieli.

To był dobry dzień – pomyślała Franciszka, obrzucając kuchnię okiem zwycięzcy. Wiedziała, że za zamkniętymi drzwiczkami szafki stoją w bojowym szyku słoiki i że jej gazety są już bezpieczne.

Wypłukała pod kranem zęby i schowała je do szklanki z wodą, przygotowała parę orzechów i dwa jabłka, i dla pewności zamknęła je w pojemniku na chleb.

Dawno nie czuła się tak dobrze. Położyła się na łóżku w trakcie wiadomości, a potem przeczytała parę stron książki, którą zostawiła jej Giena.

I, w zupełnie naturalny sposób, zmorzył ją sen.

Nad ranem przyszedł halny. Stukał po dachu, rozrzucił po ogrodzie resztki jesiennych liści, miotał po grządkach urwanym kawałkiem folii jak dużym czarnym skrzydłem. Jednak spała tak mocno, że nie słyszała nocnej zawieruchy.

Zbudził ją delikatny, szklany dźwięk.

Podniosła głowę znad poduszki. Na wysokości jej oczu, na środku stołu, stała szklanka z jej protezą, a na jej brzegu, mocno uchwyciwszy się łapkami, siedziała mysz i małymi łyczkami popijała wodę.

Franciszka machnęła książką. Szklanka wywróciła się, mocząc obrus, a mostek stoczył się na podłogę.

Plącząc się w swojej nocnej koszuli, Franciszka rzuciła się na ratunek zębom. Leżały, groźnie błyszcząc, tuż koło nogi krzesła. Franciszka ostrożnie podniosła je z ziemi i zauważyła dużą szczerbę w różowym plastiku.

Włożyła zęby do ust, na szczęście ubytek był niewyczuwalny.

Przez cały czas czuła na sobie czyjeś badawcze spojrzenie – to była mysz. Siedziała pod kaloryferem i czyściła sobie wąsiki.

– Zniszczyłaś moje zęby – powiedziała Franciszka, ciągle na czworakach pod stołem. – Zapamiętaj sobie, że ja nie mam nic wspólnego z tym świętym od zwierzątek i że...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Tak szybko, jak to tylko było możliwe, wylazła spod stołu i poczłapała do aparatu, ale dla rozmówcy nie było to dostatecznie szybko, bo telefon umilkł, gdy tylko sięgnęła po słuchawkę. Nie miała nawet czasu zastanowić się, kto mógł dzwonić o tej porze, bo dokonała nowego odkrycia. Wisząca nad telefonem styropianowa płyta, do której przypinała różne ważne kartki, była w paru miejscach nadgryziona, a koło telefonu wałały się białe kuleczki.

Zgarnęła je na rękę i dopiero wtedy poczuła, że przemarzła do szpiku kości. Wróciła do kuchni, wrzuciła kuleczki pod piec i założyła ciepłe skarpety.

Schyliła się i zajrzała pod kaloryfer, ale myszy już tam nie było.

Po śniadaniu na wszelki wypadek sprawdziła ubrania i buty w szafce w przedpokoju. Na szczęście wszystko było w porządku.

Po szafce przyszła kolej na bielizniarkę, i dobrze, że się za nią zabrała, bo między prześcieradłami znalazła sto złotych, które już zdążyła spisać na straty. Położyła je na stole i pospieszyła do przedpokoju, bo ktoś próbował dostać się do środka.

Inkasent z gazowni był nowy i wyglądał tak, jakby zabijanie starych ludzi dla stu złotych było jego chlebem powszednim. Na głowie miał włóczkową czapkę w granatowo-szare paski i krótką skórzaną kurtkę.

Franciszka przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie udać, że zaciął się zamek, ale szybko doszła do wniosku, że mógłby chcieć wyważyć jej drzwi, co niechybnie rozpaliby dodatkowo jego mordercze instynkty. Wpuściła więc inkasenta do środka, poszła do pokoju i przykryła leżące na stole sto złotych szmatką.

Inkasent widać nie był w zabójczym nastroju lub zdołał już wyrobić normę dzienną, bo zostawił kwitek – trochę za blisko szmatki – i wyszedł.

Franciszka spojrzała z wyrzutem na ślady na podłodze i zasunęła zasuwkę w drzwiach.

Zmiotła piasek do kącika za lodówką, postawiła wodę na herbatę i spojrzała na zegar.

Było południe i pora na lekarstwa.

Odkrycie w apteczce wstrząsnęło nią tak, że musiała usiąść. Zamrugła z niedowierzaniem i jeszcze raz spojrzała na półkę. Ktoś poprzegryzał plastikowe opakowania i zlizął z tabletek glazurę. Tylko po bardzo dokładnych oględzinach można było odróżnić sylimarol od corontinu.

Franciszka z obrzydzeniem przełknęła bladozieloną tabletkę, poczuła na języku odrażający, gorzki smak. Dotknęła językiem podniebienia i wyczuła nierówność na mostku.

– Idę po kota! – zawołała. – Po kota, rozumiesz?

Takie rzucanie pogroźek wydało się jej śmieszne, ale to przecież była wojna, coś znacznie gorszego niż mysie bobki w pojemniku na chleb, kminek i kawę. Mysz otwarcie zamierzała zniszczyć ją, Franciszkę R., lat siedemdziesiąt pięć.

Po obiedzie Franciszka założyła ciepłe spodnie, sweter, kurtkę i włóczkowy beret, z trudem znalazła dwie rękawiczki do pary, wyszła na ganek i starannie zamknęła drzwi na wszystkie trzy zamki.

Ostatni raz wychodziła z domu w ubiegły poniedziałek, żeby zrobić większe zakupy. O tej porze roku nie odczuwała potrzeby wychodzenia, nawet do ogrodu, ale tym razem to była konieczność.

Ciepły wiatr oszołomił ją. Słońce, pomimo że chyliło się ku zachodowi, dalej świeciło jasno i obiecująco. Franciszka kucnęła przy rabatce i ze zdumieniem dostrzegła maleńkie, stożkowate listki śnieżyczek.

Wstała, chwytając się pnia wiśni. Gałązki drzewa były ciemne i lśniące, jakby ktoś je polakierował. I na dodatek nie były już po zimowemu sztywne.

Franciszka przeszła przez uliczkę i wyszła w pola. Pachniało mokrą ziemią, sfermentowanymi jabłkami, a na pustych polach po brzdach majestatycznie spacerowały wrony.

W tym momencie Franciszka przypomniała sobie, że została na kuchennym stole kawałek sera. Była już za daleko, by zawrócić, zresztą pomyślała sobie, że pojawią się w domu z kotem, i to on przejmie inicjatywę.

Ścieżką między polami szło się miękko, jak po dywanie. Słońce oświetlało szare trawy i nadawało krajobrazowi miodowy kolor. Obok pobliskiej drogi rząd topoli sterczał jak sięgający nieba płot.

Franciszka schyliła się i podniosła z ziemi zeszłoroczny kłos. Był pusty, widać ptaki albo myszy wyjadły ziarno. Rzuciła go na wiatr, zakręcił się i upadł pomiędzy skiby.

Nagle usłyszała szczekanie psa. Zatrzymała się, zaciskając dłoń na lasce.

Pies, podskakując, biegł prosto na nią. Był bardzo duży, ale na szczęście jasnopopielaty (te, które pokazywano w telewizji, a które ze szczególnym upodobaniem kąsały ludzi, były czarne i podpalane). Mimo to Franciszki nie opuszczał łęk. Pies zatrzymał się tuż przed nią i popatrzył jej w twarz. Różowy jęzor zwiślał nieporządnie, jak to zwykle u psów bywa, a niebieskie, jakby szklane oczy patrzyły poważnie i trochę groźnie.

Poczuła bijące od psa ciepło i charakterystyczny zapach sierści. Nie poruszyła się. Stał jeszcze chwilę, patrząc pytająco, a potem pobiegł w kierunku swego pana czy też pani – z tej odległości nie można było dostrzec różnicy – odwracając się grubym, mocno zakręconym ogonem.

– Chwała Bogu, że nie miałam teraz kota – odetchnęła z ulgą Franciszka. – Przecież by mnie zjadł...

Ruszyła powoli przed siebie. Dom Władki był już dobrze widoczny. Ponad czerwonym w świetle słońca dachem unosiła się wstążka dymu. W miarę, jak zbliżała się do domu, czuła zapach wędzącej się słoniny, a gdy położyła rękę na klamce, Władka stała już w drzwiach, wycierając ręce w fartuch.

Jej włosy, świeżo po trwałej ondulacji, miały rudawy połysk.

Przywitała Franciszkę z lekkim zdziwieniem, zdarzało się bowiem bardzo rzadko, aby Franciszka przychodziła do kogoś z wizytą, widać musiało wydarzyć się coś bardzo ważnego.

Władka szybko przewertowała w myślach listę osób, które mogły umrzeć nagle a niespodziewanie, ale z Gieną widziała się poprzedniego dnia w kościele, Franciszka gramoliła się na schody, a nikt inny nie przychodził jej na myśl.